

PRZYCZAJONA GROZA



1. Cień na kominie

Tej nocy, kiedy udałem się do opuszczonej posiadłości na szczycie Góry Gromów, by odnaleźć tam przyczajoną grozę, wokoło szalała burza. Nie byłem sam, nieostrożność i brawura nie łączyły się bowiem w mej duszy z zamiłowaniem do rzeczy osobliwych i przerażających, które ugruntowały mą karierę i skłoniły do poszukiwań tajemniczych a budzących grozę koszmarów, zarówno w życiu, jak i literaturze. Towarzyszyło mi dwóch wiernych krzepkich mężczyzn, po których posłałem, gdy nadeszła pora; ludzie ci ze względu na swe szczególnie umiejętności od dawna towarzyszyli mi w upiornych ekspedycjach.

Wyruszyliśmy z wioski po cichu, z uwagi na reporterów, którzy wciąż tam przebywali, od czasu owej mrocznej, posępnej paniki, jaka wybuchła zaledwie miesiąc wcześniej, a ściślej od koszmarnej nocy, gdy nieuchwytna śmierć nawiedziła niewielką wioskę. Skonstatowałem, iż przydadzą mi się później, teraz wszelako nie zależało mi zbyt na ich obecności. Gdzieś w głębi serca chciałem, by wzięli udział w tych poszukiwaniach, bym nie musiał tak długo nosić w sobie brzemienia owego sekretu, w grę wchodziła bowiem obawa, że świat uzna mnie za obłąkanego lub że ja sam stracę zmysły za sprawą demonicznych implikacji tej mroźnej krew w żyłach tajemnicy. Teraz jednak postanowiłem wyznać wszystko, niechaj kto chce nazwie mnie szaleńcem, żałuję jedynie, że tak długo trzymałem ową rzecz w sekrecie. Ja bowiem i tylko ja wiem, jakiego rodzaju groza czai się na szczycie tej widmowej, opuszczonej góry.

Niewielkim automobilem przebrnęliśmy przez mierzącą wiele mil połącz prądowego lasu i wzgórze, póki stromizna nie okazała się dla naszego pojazdu nie do pokonania. Miejsce to, oglądane nocą i bez tłumów śledczych, którzy kręcili się tu za dnia, wydało się nam o wiele bardziej złowrogie i nieraz kusiło nas, by zrobić użytek z acetylenowego reflektora, nie zważając na to, co silny blask mógłby ku nam przywabić. Po zmierzchu krajobraz wcale nie wydawał się przyjazny i urokliwszy; podejrzewam, że nawet nie wiedząc o grozie, która tutaj czyhała, mimo woli wyczułbym zawartą w owym miejscu złą aurę. W pobliżu nie było widać żadnych dzikich zwierząt, są one bowiem roztropne, wyczuwają od razu obecność zagrożenia i śmierci. Prastare, poorane przez pioruny drzewa wydawały się nienaturalnie wielkie i poskręcane, inna roślinność natomiast nienaturalnie gęsta i wybujała, podczas gdy porośnięte chwastami fulgurytowe pagórki i wzniesienia kojarzyły mi się z węzami i czaszkami trupów powiększonymi do gigantycznych rozmiarów.

Groza czaiła się na Górze Gromów od ponad stu lat. Dowiedziałem się tego dzięki artykułowi w gazecie dotyczącemu tragedii, który po raz pierwszy przybliżył światu to niesamowite miejsce. Jest to odległy, odludny region Catskills, gdzie ongi przez krótki czas próbowała osiąść grupa osadników - Holendrów, pozostawiając po sobie jedynie kilka zrujnowanych posesji oraz zaludnione grupkami zdegenerowanych indywiduów żałosne wioski rozrzucone na zapomnianych przez Boga górskich zboczach. Normalni ludzie rzadko odwiedzali te rejony, póki nie sformowano oddziałów policji stanowej, lecz nawet wówczas stróże prawa patrolowali je sporadycznie i z wielką niechęcią. Groza wszelako należała do elementów prastarej tradycji, obecnych w sąsiadujących ze sobą wioskach, jest ona bowiem głównym tematem niewyszukanych rozmów owych nieszczęsnych wiejskich prostaków, którzy z rzadka opuszczają swe doliny, by wymieniać ręcznie plecione kosze na prymitywne, acz niezbędne do życia rzeczy, których sami nie byli w stanie ustrzelić, zrobić lub wyhodować.

Przyczajona groza zamieszkała w unikanej przez ludzi, opuszczonej posesji Martense'ów wzniesionej na szczycie wysokiego, tarasowego wzgórza, które z uwagi na częstość szalejących nad nim burz nazwano Górą Gromów.

Przez ponad sto lat prastary, otoczony gajem, kamienny dom był tematem niewiarygodnych, mrozących krew w żyłach historii, opowiadań o potężnej, sunącej cicho i nieubłaganej śmierci, która latem nawiedziła okoliczne tereny. Wieśniacy z trwogą i zapamiętaniem zarazem mówili o demonie, który po zmierzchu czyhał na samotnych wędrowców, aby porwać ich w nieznaną lub pozostawić rozszarpane na strzępy szczątki w pobliżu leśnego duktu, nadzarte, jakby to uczyniły wielkie, okrutne bestie. Czasami miejscowi szeptali także o śladach krwi wiodących jakoby ku odległej posesji. Niektórzy zarzekali się, że to grzmoty wywoływały przyczajoną grozę z jej domeny, inni natomiast twierdzili, iż huk gromu był jej prawdziwym głosem.

Nikt, kto mieszkał poza leśnymi ostępami, nie wierzył w te różnorodne, częstokroć sprzeczne historie, pełne niespójnych, wynaturzonych opisów na wpół dostrzeżonego demona; żaden farmer ani wieśniak nie wątpił jednak, że posiadłość Martense'ów była nawiedzona. Historia tej okolicy nie pozostawiała miejsca na jakiegokolwiek powątpiewanie, mimo iż śledczy, którzy odwiedzali posesję, gdy jakaś rozgłaszana przez miejscowych historia okazywała się wyjątkowo barwna, nie natrafili na jakiegokolwiek ślady istnienia upiornych mocy. Babki snuły osobliwe opowieści o duchu Martense'a, legendy związane z jego rodem, dziwaczną wadą wrodzoną, przekazywaną genetycznie z pokolenia na pokolenie, a polegającą na odmienności barw obojga oczu, burzliwymi nienaturalnymi dziejami owej rodziny, zapisywanymi w opastej kronice, i morderstwem, którego klątwa ciążyła nad kolejnymi dziedzicami.

Groza, która przyciągnęła mnie tutaj, była jak nagły omen, potwierdzający najwymyślniejsze spośród osobliwych historii rozgłaszanych wśród górali. Pewnej letniej nocy, po wyjątkowo silnej burzy, w okolicy odnotowano gwałtowną ucieczkę ogarniętych paniką wieśniaków, których trwogi nie mogły wywołać zwykłe przywidzenia czy iluzje. Żalose tłumy prymitywnych górali, wyjąć i wrzeszcząc wniebogłosy, bełkotały o nienasyconej grozie, która ich nawiedziła. Co do tego ludzie nie mieli wątpliwości. Nie widzieli, co to było, ale słyszeli straszliwe wrzaski dochodzące z jednego z siół i wiedzieli, że miejsce to odwiedziła okrutna śmierć.

Rankiem mieszkańcy i policja podążyli za wstrząśniętymi góralami do miejsca, którego, jak powiadano, dotknął palec śmierci. Tak było w istocie. Ziemia pod jedną z wioszek górali zapadła się po uderzeniu pioruna, obracając w perzynę kilka cuchnących, brudnych szafasów; było to jednak niczym w porównaniu ze zniszczeniami bez wątpienia organicznej natury. Mimo iż zamieszkiwało tu około siedemdziesięciu pięciu osób, w pobliżu nie było żywego ducha. Wzburzoną ziemię pokrywały plamy krwi i ludzkie szczątki, aż nadto wyraziście obrazujące okrucieństwo szponów i kłów nie nazwanego demona. Od miejsca masakry nie odchodziły jednak żadne widoczne ślady, które znaczyłyby jego drogę ucieczki. Wszyscy zgodnie potwierdzali, że sprawcą owej zbrodni musiało być jakieś potworne zwierzę, nikt wszakże nie wspominał, iż okrutnością mord ten przypominał najbardziej posępne rzezie dokonywane wśród głęboko dekadentkich wspólnot. Sprawę ponownie nagłośniono, kiedy okazało się, że w nie wyjaśniony sposób zaginęło około dwudziestu pięciu mieszkańców wioski, nawet jednak w tych okolicznościach nikt nie potrafił wytłumaczyć, w jaki sposób ludzie ci byliby w stanie zamordować ze szczególnym okrucieństwem, jak dzikie bestie, prawie pięćdziesiąt osób. Niezbitym dowodem było to, że owej letniej nocy niebo rozciąła błyskawica, a po burzy pozostała wymarła wioska pełna upiornych, zmasakrowanych, rozszarpanych i nadzartych ciał.

W okolicy natychmiast zaczęto szemać, łącząc owo koszarne zdarzenie z nawiedzoną posesją Martense'ów, choć oba miejsca dzieliła odległość ponad trzech mil. Policjanci byli bardziej sceptyczni, włączyli posiadłość do śledztwa jedynie z obowiązku i po pobieżnym przeszukaniu, stwierdziwszy, że jest opuszczona, natychmiast skreślili ją z rejestrów. Wieśniacy i okoliczni mieszkańcy natomiast przeczesali całe to miejsce z niezwykłą pieczołowitością. Wywrócili wszystko w domu do góry nogami, przebagrowali stawy i strumienie, przetrząsnęli zarośla i przebadali uważnie każdy skrawek pobliskiego lasu. Wszystko na próżno; śmierć pojawiła się i odeszła, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów, z wyjątkiem zniszczeń i trupów.

Drugiego dnia poszukiwań całą sprawę nagłośniła skutecznie prasa, na Górze Gromów zaroilo się nagle od dziennikarzy. Pismacy skoncentrowali się przede wszystkim na makabrycznych szczegółach, a przeprowadzając wywiady, starali się ukazać całą sprawę jak pradawną koszarę w historycznej otoczce legend i mitów opowiadanych przez miejscowe babiny. Z początku śledziłem te doniesienia bez większego entuzjazmu, jeżeli bowiem chodzi o grozę, uważam siebie za konesera, jednak po tygodniu wyczułem coś dziwnego, co wzbudziło me zainteresowanie, i tak oto piątego sierpnia 1921 roku wynająłem pokój w hotelu w Lefferts Corners, wiosce leżącej najbliżej Góry Gromów, w hotelu pełniącym zarazem funkcję kwatery głównej badających okolicę dziennikarzy. Trzy tygodnie później dziennikarzy pozostało tu już niewiele, mogłem zatem rozpocząć swe przerażające śledztwo, oparte na pobieżnych wywiadach, badaniach i obserwacjach, czyli tym wszystkim, czym zajmowałem się do tej pory.

Tak więc owej letniej nocy, gdy z oddali dobiegał ryk grzmotów, zostawiłem swój cichy automobil i z dwoma uzbrojonymi towarzyszami wspiąłem się na szczyt Góry Gromów. W świetle mej latarki elektrycznej już niebawem pośród wielkich dębów zaczęły ukazywać się widmowe, szare mury. W mrokach tej posępnej nocy, rozjaśniona jedynie falującym snopem światła, owa wielka budowla zdawała się mgliście sugerować koszmary, których za dnia nie sposób było dostrzec; niemniej jednak nie zawahałem się, jako że przybyłem tu z głębokim postanowieniem doprowadzenia mojej misji do końca. Chciałem upewnić się, czy moje przypuszczenia były słuszne. Wierzyłem, że odgłos grzmotów przywoływał demona śmierci z jakiegoś przerażającego sekretnego miejsca i, czy demon ów był istotą z krwi i kości, czy też widmową zjawą, zamierzałem go ujrzeć.

Jako że uprzednio starannie przeszukałem starą posesję, plan miałem gruntownie opracowany; na miejsce czuwania wybrałem stary pokój Jana Martense'a, ofiary mordu, o którym pamięć po dziś dzień żyje w wieśniaczych legendach. Coś mi mówiło, że jego apartament najlepiej będzie się nadawać do moich celów.

Komnata mierząca około dwudziestu stóp kwadratowych zawierała, podobnie jak inne pokoje, sterty połamanych gratów, które ongiś były meblami. Znajdowała się na pierwszym piętrze w południowo-wschodnim narożniku domu, miała wielkie okno od wschodniej i wąskie od południowej strony, oba wszelako pozbawione były szyb oraz okiennic. Naprzeciw dużego okna mieścił się potężny holenderski kominek, na kaflach którego przedstawiono historię syna marnotrawnego, naprzeciw wąskiego okienka zaś w ścianę wbudowano szerokie łóże.

Gdy grzmoty, stłumione przez drzewa, przybrały na sile, zająłem się realizacją szczegółów mego planu. Najpierw przymocowałem do parapetu okna trzy, jedną obok drugiej, drabinki sznurowe, które przyniosłem ze sobą. Wiedziałem, że sięgają szerokiego spłachcia trawnika pod oknem, ponieważ wcześniej dokładnie je sprawdziłem. Następnie we trzech przyciągnęliśmy z drugiego pokoju szerokie łóże z baldachimem i ustawiliśmy je przy oknie. Zamaskowaliśmy je gałęziami jedliny i rozciągnęliśmy się we trzech na łóżku, z przygotowanymi pistoletami automatycznymi. Dwóch odpoczywało, podczas gdy trzeci trzymał wartę. Niezależnie od tego, z której strony mógł się pojawić demon, mieliśmy zapewnioną drogę ucieczki. Gdyby przybył z wnętrza domu, mieliśmy drabinki sznurowe, gdyby zaś zjawił się z zewnątrz, pozostawały nam schody i drzwi. Mając na uwadze precedens, nie sądziliśmy, aby nawet w najgorszej sytuacji upiór ścigał nas daleko od domu.

Trzymałem wartę między północą a pierwszą i nagle, pomimo posępności domostwa, nie strzeżonego okna i zbliżającej się burzy, poczułem niezwykłą senność. Znajdowałem się pomiędzy dwoma moimi towarzyszami, George'em Bennettem zwróconym ku oknu i Williamem Tobeyem wpatrującym się w kominek. Bennett spał, najwyraźniej porażony tą samą tajemniczą sennością, która dotknęła i mnie, toteż wyznaczyłem na kolejną wartę Tobeya, choć i jemu kiwała się lekko głowa. To zadziwiające, z jakim zapamiętaniem wpatrywał się w ten kominek.

Przybierający na sile grzmot musiał wyrzucić znaczący wpływ na moje sny, gdyż podczas krótkiej drzemki, która mnie zmoęła, nawiedziły mnie iście apokaliptyczne wizje. Raz o mało się nie obudziłem, prawdopodobnie dlatego, że śpiący pod oknem przypadkiem położył mi rękę na piersi. Nie rozbudziłem się jednak na tyle, by sprawdzić, czy Tobey wypełniał należycie swe obowiązki wartownika, lecz poczułem w związku z tym niewysłowiony a niejasny niepokój. Nigdy dotąd nie doświadczyłem równie silnego wrażenia obecności zła. Później znów musiałem zapaść w sen, wyrwały mnie bowiem z objęć karmiącego mój umysł koszmarami Morfeusza przeraźliwe, przeszywające noc krzyki, jakich nigdy dotąd nie słyszałem ani nawet nie byłem w stanie sobie wyobrazić.

We wrzaskach tych zawierał się odgłos, z jakim sama esencja ludzkiego strachu, agonii i cierpienia mogłaby dobijać się bezradnie i szaleńczo do hebanowych bram mrocznego zapomnienia. Obudziłem się pośród czerwonego obłędu i diabolicznej drwiny, podczas gdy niepojęte wizje owej chorobliwej i krystalicznej wyrazistej udręki umykały gdzieś hen, wycofując się z mego umysłu. Nie było światła, lecz wyczuwając po swej prawej stronie puste miejsce, zorientowałem się, że Tobey gdzieś zniknął. Bóg jeden wiedział, dokąd mógł się udać. Na mojej piersi wciąż spoczywało ciężkie ramię śpiącego przy oknie mężczyzny.

I nagle błysnęło, a zaraz potem huknął grom, wstrząsając w posadach całą górą, i rozłupał patriarchę pokrzywionych, gruzłowatych drzew. Gdy rozbłysł potworny, zygzakowaty piorun, śpiący drgnął i nagle się obudził, a blask zza okna sprawił, że na przewodzie kominkowym, powyżej paleniska, pojawił się jego cień, od którego nie byłem potem w stanie oderwać wzroku. To, że nadal żyję i zachowałem zdrowe zmysły, jest cudem, którego nie potrafię wytłumaczyć. Nie jestem w stanie tego wyjaśnić, gdyż cień na kominie nie należał do George'a Bennetta ani jakiegokolwiek innej istoty ludzkiej, lecz do bluźnierczej potworności z najdalszych zakamarków piekieł; bezimiennej, bezkształtnej potwornej istoty, której żaden umysł nie potrafi w pełni objąć i żadne pióro nie jest w stanie jej opisać. W następnej chwili pozostałem w przeklętej posiadłości sam, rozdygotany i bełkoczący jak obłąkaniec. Po George'u Bennecie i Williamie Tobeyu nie pozostał żaden ślad, nie było żadnych oznak walki. I nikt nigdy już o nich nie usłyszał.

[Początek] [Rozdział 2 ->]

2. Chodzący wśród burzy

Następne kilka dni po tym przerażającym doświadczeniu w posiadłości leżącej pośród leśnej gęszy przeleżałem do cna wyczerpany w hotelowym pokoju w Lefferts Corners. Nie pamiętam dokładnie, jak udało mi się dotrzeć do samochodu, uruchomić go i wrócić niepostrzeżenie do wioski; nie mam bowiem żadnych konkretnych wspomnień, jedynie mgliste, ulotne wizje dzikorękich gigantycznych drzew, demonicznego mamrotania gromów i charonicznych cieni przecinających w poprzek niskie pagórki, od których w tej okolicy aż się roiło.

Gdy rozdygotany rozmyślałem, co mogło rzucić ów porażający zmysły cień, zorientowałem się, że ujrzałem na własne oczy jeden z najokropniejszych koszmarów ziemi, nie nazwaną grozę z zewnętrznej pustki, której słabe demoniczne skrobanie słyszysz niekiedy na najdalszych obrzeżach kosmosu, której oblicza jednak litościwie oszczędzono nam ujrzeć. Nie mam dość odwagi, by starać się przeanalizować lub zidentyfikować cień, który ujrzałem. Tamtej nocy coś leżało pomiędzy oknem a mną i dreszcz mnie przechodził za każdym razem, gdy instynkt nakazywał, bym próbował to jakoś określić. Gdyby przynajmniej zawarczało, zawyło lub zaśmiało się zawodzącym, piskliwym chichotem, to przynajmniej do pewnego stopnia złagodziłoby przepastną potworność owego zdarzenia.

Lecz to było ciche, tak ciche... Położyło mi na piersi ciężkie swe ramię lub nogę... Najwyraźniej była to istota organiczna, no, przynajmniej kiedyś była organiczna... Jan Martense, którego pokój zająłem, został pogrzebany na cmentarzu w pobliżu swej posiadłości... muszę odnaleźć Bennetta i Tobeya, jeżeli żyją... Czemu to zabrało ich,

a mnie zostawiło na koniec?... Senność jest tak przytłaczająca... nieodparta... a sny tak upiorne...

Wkrótce uświadomiłem sobie, że muszę opowiedzieć komuś mą historię, bo w przeciwnym razie załamie się całkowicie. Postanowiłem już, że nie porzucę poszukiwań przyczajonej grozy, gdyż w błogiej nieświadomości sądziłem, iż niepewność gorsza jest od poznania, jakkolwiek miałyby się ono okazać zatrważające. Obmyśliłem przeto najlepszy w mym mniemaniu plan działania; wiedziałem już, komu mam się zwierzyć ze swych przeżyć i jak wyśledzić i dopaść istotę, która w niewiadomy sposób porwała dwóch moich ludzi i rzuciła koszmarny cień.

W Lefferts Corners zapoznałem się z kilkoma uprzejmymi dziennikarzami, którzy zdecydowali się pozostać w wiosce, by zrelacjonować ostatnie echa tragedii. Spośród nich właśnie postanowiłem wybrać mego powiernika i im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej byłem przekonany, by opowiedzieć o swych makabrycznych przeżyciach niejakemu Arthurowi Munroe, ciemnowłosemu, szczupłemu mężczyźnie w wieku około trzydziestu pięciu lat, którego wykształcenie, gusta i inteligencja oraz temperament sugerowały, iż nie ograniczał się on jedynie do konwencjonalnych pomysłów oraz doświadczeń.

Pewnego wrześniowego popołudnia Arthur Munroe wysłuchał mej opowieści. Od początku zauważyłem, że okazywał zainteresowanie i sympatię, kiedy natomiast skończyłem, zaczął dyskutować ze mną, analizując dogłębnie i wnikliwie całe zdarzenie. Rada wszelako, jakiej mi udzielił, była jak najbardziej praktyczna, zalecił bowiem odroczenie dalszych działań na terenie posesji Martense'ów, póki nie zdobędziemy bardziej szczegółowych informacji historycznych oraz geograficznych.

Z jego inicjatywy przeczesaliśmy okolicę w poszukiwaniu informacji dotyczących straszliwej rodziny Martense'ów i odkryliśmy, że pewien człowiek posiada ich cudownie iluminowaną, rodową kronikę. Sporo rozmawialiśmy również z prymitywnymi osadnikami z gór, którzy nie umknęli przed zgrozą i szaleństwem w odleglejsze zakątki Catskills, co miało być początkiem zwińczenia naszych badań, a mianowicie wyczerpującej i definitywnej analizy posiadłości w świetle jej szczegółowo zarejestrowanej historii, a także skrupulatnego i ostatecznego zbadania miejsc wiążących się z licznymi tragediami uwiecznionymi w ludowych opowieściach górali.

Rezultaty badań początkowo nie były zbyt zachęcające, aczkolwiek ich zestawienia zdawały się zdradzać wyraźny i znaczący trend; mianowicie, liczba doniesień związanych z koszmarnymi, przerażającymi zdarzeniami była zdecydowanie większa w rejonach znajdujących się w pobliżu opuszczonej posesji lub w miejscach łączących się z nią poprzez połączenie mrocznego, posępnego lasu. Zdarzały się, rzecz jasna, wyjątki, tragedia, o której dowiedział się cały świat, wydarzyła się na płaskiej pozbawionej drzew przestrzeni w miejscu równie odległym od lasu, jak i od podejrzanej, powszechnie unikanej posesji.

Jeżeli chodzi o naturę i wygląd przyczajonej grozy, przerażeni i mało rozgarnięci mieszkańcy szalasu nie mogli lub nie chcieli nam pomóc. Mówili o niej pospołu jako o wężu i olbrzymie, diabelskim gromie i nietoperzu, sępie i kroczącym drzewie. My wszelako domniemywaliśmy, iż była to żywa istota, wysoce wrażliwa na wyładowania elektryczne. W niektórych wersjach sugerowano, że miała ona skrzydła, uznaliśmy jednak, z uwagi na jawną wręcz niechęć do otwartych przestrzeni, że musi ona raczej poruszać się po ziemi. Jedynym czynnikiem zdającym się przeczyć powyższej teorii, była szybkość, z jaką musiałaby przemieszczać się owa istota, by dokonać rzeczy, które jej przypisywano.

Kiedy poznaliśmy górali nieco lepiej, stwierdziliśmy, iż są to ludzie pod wieloma względami sympatyczni i mili. Byli prości, to prawda, i znajdowali się po opadającej stronie na skali ewolucyjnej ze względu na swe niefortunne pochodzenie i ogłupiającą izolację. Lękali się obcych, lecz z wolna do nas przywykli, a nawet służyli nam swą pomocą, gdy wycieliśmy zarośla i zerwaliśmy wszystkie przepierzenia na terenie posesji, poszukując, aczkolwiek na próżno, przyczajonej grozy. Kiedy poprosiliśmy, by pomogli nam odnaleźć Bennetta i Tobeya, zareagowali ze szczerą konsternacją. Chcieli nam pomóc, ale wiedzieli, że przyjaciele moi opuścili ten padół równie skutecznie i nieodwołalnie, jak zaginieni górale z pobliskiego sioła i inni, których porwała tajemnicza groza. Byliśmy przekonani, że wiele spośród ich ofiar padło ofiarą wewnętrznych porachunków i mordów, tak jak odstrzeliwane są dzikie zwierzęta, niemniej z niecierpliwością i niepokojem oczekiwaliśmy na kolejną tragedię.

W połowie października nie na żarty zaczęliśmy się niepokoić przedłużającym się impasem. Noce były pogodne i spokojne, demoniczny napastnik nie zaatakował ponownie, przeprowadzone zaś przez nas na próżno badania domu i okolicy przywiodły nas niemal do przekonania, że mieliśmy do czynienia z istotą niematerialnej natury. Obawialiśmy się, że nadejdą chłody i położą kres naszym badaniom, wszyscy bowiem zgodnie przyznawali, iż zimą demon nie dawał o sobie znać. Dlatego też w pośpiechu i desperacji przepasywaliśmy w promieniach zachodzącego słońca nawiedzony przez grozę zaścianek. Osada świeciła teraz pustkami, gdyż górale bali się tu zachodzić, a co dopiero zamieszkać. Feralna osada nie miała nazwy, mieściła się na niewielkiej połaci bezdrzewnej przestrzeni pomiędzy skalnymi wzniesieniami o nazwach Stożkowa Góra i Klonowe Wzgórze. Wioska leżała bliżej Klonowego Wzgórza niż Stożkowej Góry, a niektóre z prymitywnych sadyb wzniesione były wręcz w jaskiniach w zboczu pierwszego ze wspomnianych wzniesień. Miejsce to oddalone było o jakieś dwie mile na północny zachód od podnóża Góry Gromów i trzy mile od otoczonej dębami starej posiadłości. Jeżeli chodzi o odległości pomiędzy osadą a posesją, teren na przestrzeni dwóch i jednej czwartej mili był otwarty i równy, jeśli nie liczyć tych kilku zygakowatych jak zastygłe pod ziemią węże pagórków, porośniętych trawą i gdzieś tam chwastami. Rozpatrując te szczegóły topograficzne, doszliśmy w końcu do wniosku, że demon musiał nadejść od Stożkowej Góry, której zalesiony południowy kraniec nieznacznie tylko oddalony był od najdalej wysuniętej ku zachodowi odnogi Góry Gromów. Odnaleźliśmy także osuwisko znajdujące się na stoku Klonowego Wzgórza oraz strzeliste, rozłupane drzewo, gdzie trafił piorun, który przywołał złe moce. Gdy niemal dwudziesty raz Arthur Munroe i ja przepatrywaliśmy z uwagą każdy cal obróconej w perzynę osady, ogarnęło nas wyjątkowe zniechęcenie,

rezygnacja zmieszana z całkiem nowym, niewytłumaczalnym lękiem. Było to zgoła niewiarygodne, nawet dla pospolitych, przerażających i niezwykłych wypadków, że w miejscu, gdzie wydarzyła się tak okrutna i budząca trwogę tragedia, nie pozostał żaden ślad, który mógłby rzucić choć odrobinę światła na materię owego wydarzenia. Prowadziliśmy przeto nasze badania pod ołowianym, mrocznym niebem, z tragicznym, acz honorowym zapałem godnym lepszej sprawy, mimo iż doskonale wiedzieliśmy, że nasze działania, choć konieczne i niezbędne, skazane były nieuchronnie na porażkę. Działaliśmy z ogromną dokładnością, odwiedziliśmy wszystkie chaty, jedną po drugiej, przeszukaliśmy każdą kamienną chudobę w poszukiwaniu ciał, przepatrywaliśmy wszystkie każdy skrawek górskiego zbocza, lecz bezskutecznie - nie znaleźliśmy w skałach żadnych jaskiń ani grot.

A jednak, jak już wspomniałem, czułem unoszące się gdzieś ponad nami groźne i niewyjaśnione lęki, jakby z otchłani kosmicznej pustki obserwowały nas wielkie nienasycone gryfy o nietoperzych skrzydłach.

Gdy nadeszło popołudnie, zrobiło się nagle ciemno, usłyszeliśmy także pierwszy grzmot. Nad Górą Gromów zbierało się na burzę. Dźwięk ten w takim miejscu mocno nami wstrząsnął, lecz naturalnie nie tak, jakby to było w nocy. Łudziliśmy się jeszcze, że burza rozpęta się dopiero po zmierzchu i z tą nadzieją kończąc bezowocną inspekcję osady, ruszyliśmy do najbliższego zamieszkanego siola, by zebrać grupkę górali, którzy mogliby pomóc nam w poszukiwaniach. Mimo że mocno strwożeni, kilku młodszych mężczyzn pod naszym przywództwem obiecało nam swą pomoc.

Ledwie ruszyliśmy w drogę powrotną, kiedy lunęło jak z cebra, deszcz był tak rzęsisty, że nieodzowne okazało się znalezienie jakiegoś schronienia. Było ciemno choć oko wykol i potykaliśmy się niemal przy każdym kroku, lecz w świetle przecinających niebo raz po raz błyskawic i znając „na pamięć” drogę do wioski, dotarliśmy wkrótce do znajdującej się tam najlepiej zachowanej chaty. Prymitywny szałas zbity był z grubych pni drzew i szorstkich nie heblowanych desek. Jedyne maleńkie okienko i drzwi wychodziły na Klonowe Wzgórze. Zaryglowaliśmy drzwi przed deszczem i wiatrem, zablokowaliśmy też okno toporną okiennicą, jako że po wielokrotnej inspekcji chat odnalezienie jej nie sprawiło nam trudności. Siedzenie w egipskich ciemnościach na drewnianych, rozchwierutanych skrzyniach nie było przyjemne, ogarnięci posępnym nastrojem paliliśmy fajki, włączając co pewien czas nasze kieszonkowe latarki. Światło piorunów przebijało raz po raz przez szczeliny w ścianie; owo popołudnie było tak mroczne, że każdy błysk wydawał się wręcz oślepiający.

Burzliwe czuwanie skojarzyło mi się z tamtą upiorną, przerażającą nocą na Górze Gromów. W umyśle mym kołatało się wciąż pytanie, które nie dawało mi spokoju od owego strasznego wydarzenia. Znowu pytałem sam siebie, dlaczego demon, zbliżając się do trójki badaczy od strony okna lub z wnętrza domu, rozpoczął od ludzi znajdujących się po bokach, pozostawiając mnie, umieszczonego pomiędzy nimi, na koniec, zanim wyjątkowo silny grzmot nie przegnał go z powrotem. Dlaczego nie porywał swych ofiar w kolejności, niezależnie od tego, od której strony się pojawił? Czemu nie zabrał mnie drugiego? Jaką zasadą się kierował, gdy chwycił w swe macki moich przyjaciół? A może wiedział, że byłem szefem grupy, i oszczędziwszy mnie, zarezerwował dla mnie los dużo gorszy niż ten, jaki czekał mych towarzyszy?

Gdy tak rozmyślałem, zupełnie jakby dramatyzm moich refleksji wpłynął na intensywność wyładowań, kolejny piorun uderzył gdzieś niedaleko, z potworną siłą, a po huk grzmotu dał się słyszeć odgłos przesuwającej się ziemi. Równocześnie skowyt wichru przybrał na sile, przechodząc w zawodzenie, posępne crescendo. Byliśmy przekonani, że błyskawica ponownie trafiła w samotne drzewo na Klonowym Wzgórzu; Munroe wstał ze swojej skrzynki i podszedł do małego okienka, by oszacować rozmiary zniszczeń. Kiedy zdjął okiennicę, deszcz i wyjący opętańczo wicher wtargnęły dziko do środka, nie słyszałem więc, co powiedział. Czekałem cierpliwie, podczas gdy Munroe wychylił się na zewnątrz, próbując określić pandemonium żywiołu. Stopniowo wiatr się uspokoił, chmury rozwiały, burza minęła. Miałem nadzieję, że burzliwa pogoda utrzyma się do wieczora, byśmy mogli przeprowadzić nasze poszukiwania, ale promień słońca wnikający bojaźliwie przez otwór po sęku w desce za moimi plecami w okamgnieniu obrócił moje nadzieje wniwecz.

Bóg jeden wie, ile ich tam było, ale z pewnością tysiące.

Wołając do Munroe, abyśmy wykorzystali słoneczną pogodę, bo burza mogła wszak powrócić, odryglowałem i otworzyłem toporne odrzwia. Plac na zewnątrz pokrywały kałuże błocka i deszczówki, widać też było świeże zwały ziemi z osuwiska, które pojawiło się nieopodal, nie dostrzegłem jednak niczego, co wyjaśniałoby zainteresowanie mego towarzysza, stojącego w bezruchu i milczeniu przy maleńkim oknie. Podchodząc do miejsca, skąd się wychylał, dotknąłem jego ramienia. Munroe nie poruszył się jednak. Potrząsnąłem nim lekko i poczułem dławiące macki rakowatej grozy, której korzenie sięgały niepamiętnej przeszłości i bezdennych otchłani nocy, wykraczając poza znane nam granice czasu i przestrzeni.

Arthur Munroe był martwy. A to, co pozostało z jego nadżartej, zmasakrowanej głowy, było zupełnie pozbawione twarzy.

[<- **Rozdział 1**] [**Początek**] [**Rozdział 3** ->]

3. Co oznaczała czerwona poświata

W burzliwą noc ósmego listopada 1921 roku, gdy blask latarni rzucał dokoła posępne, trupie cienie, stałem samotnie, jak kretyn rozkopując grób Jana Martense'a. Zacząłem kopać już po południu, ponieważ zbierało się na burzę, teraz natomiast cieszyłem się, że było ciemno, a przed deszczem chroniło mnie gęste listowie drzew powyżej.

Wydaje mi się, że wypadki, jakie zdarzyły się od pamiętnego piątego sierpnia, częściowo pomieszały mi rozum: demoniczny cień w starym domu, ogólne napięcie i rozczarowanie oraz to, co wydarzyło się w wiosce podczas październikowej burzy. Po tym zdarzeniu wykopałem grób człowiekowi, którego śmierci nie potrafiłem pojąć. Wiedziałem, że inni także by tego nie zrozumieli, toteż pozostawiłem ich w przeświadczeniu, że Arthur Munroe odszedł gdzieś w nieznane. Górale mogliby to pojąć, lecz nie chciałem ich bardziej trwożyć. Szukali Arthura, lecz go nie odnaleźli. Co do mnie, sprawiałem wrażenie wyjątkowo nieczułego i gruboskórnego. Wstrząs, jakiego doznałem w starej posesji, uczynił coś z moim mózgiem i mogłem obecnie myśleć wyłącznie o poszukiwaniu grozy, która w mej wyobraźni urosła do gigantycznych rozmiarów. Poszukiwania te, z uwagi na los Arthura Munroe, poprzysiągłem sobie prowadzić potajemnie i w samotności.

Już sama sceneria miejsca, w którym kopałem, mogłaby wzbudzić trwogę w sercu każdego normalnego człowieka. Ogromne, prastare drzewa, groteskowe, posępne i złowrogie, wznosiły się nade mną niczym kolumny jakiejś piekielnej świątyni druidów, tłumiąc odgłosy grzmotów, uciszając wyjący wiatr i prawie nie dopuszczając do mnie deszczu. W tle, za pooranymi, gruzłowatymi pniami, oświetlone słabymi błyskami niemal tu niewidocznych piorunów strzelały w górę spowite wilgotnym blaskiem mury opuszczonej posesji, nieco bliżej zaś znajdował się zapuszczony holenderski ogród, którego ścieżki i klomby pokrywała biała, grzybiasta, cuchnąca, nadmiernie wybujała roślinność, która nigdy nie widziała prawdziwego dziennego światła. Najbliżej wszelako rozciągał się cmentarz z pokrzywionymi, zdeformowanymi drzewami, unoszącymi w górę szaleńczo skręcone konary, korzenie ich zaś, przemieściwszy plugawe płyty nagrobne, łączywie wysysały jadowite, trujące płyny z tego, co znajdowało się w ziemi. Od czasu do czasu pod brązowymi całunami liści, które gnily i rozkładały się w mrokach przedpotopowego lasu, udało mi się wypatrzyć zarys jednego z owych niskich pagórków tak charakterystycznych dla tego umiłowanego przez pioruny obszaru.

Historia doprowadziła mnie do tego archaicznego grobu. Skądinąd tylko na historii mogłem się oprzeć, inne ślady bowiem prowadziły niechybnie ku posądzeniom o uprawianie plugawych satanistycznych praktyk. Wierzyłem teraz, że przyczajona groza nie była istotą z krwi i kości, lecz upiorem, zjawą o wilczych kłach sunącą jak jeździec na rumaku burzy. Wierzyłem również, z uwagi na mnóstwo ludowych podań i legend, zebranych podczas mych poszukiwań wraz z Arthurem Munroe wśród okolicznej ludności, że musiał to być duch Jana Martense'a, zmarłego w 1762 roku. Oto, dlaczego zachowując się jak ostatni kretyń, zawzięcie rozkopy wałem jego mogiłę.

Rezydencję Martense'ów zbudował w roku 1670 Gerrit Martense, bogaty kupiec z Nowego Amsterdamu, któremu nie spodobała się zmiana porządków pod rządami Brytyjczyków i wznosił ową wspaniałą posesję w odległym górystym zakątku, jako że odludne położenie i niezwykła sceneria tego miejsca wielce przypadły mu do gustu. Jedynym minusem owej urokliwej skądinąd pustelni była niespotykana częstość i gwałtowność letnich burz z piorunami. Wybierając wzgórze i wznosząc na nim swą posiadłość, Mynheer Martense przypisał częstotliwość owych naturalnych zjawisk anomalii pogodowym zachodzącym w danym roku. W miarę upływu czasu stwierdził jednak, iż zjawiska te były niemal wizytówką obranego przez niego wzgórza. W końcu, kiedy nawałnice szczególnie mocno dały mu się we znaki, przysposobił jedną z piwnic, by stała się dlań oazą spokoju na czas trwania najgwałtowniejszych burz.

O potomkach Gerrita Martense'a wiadomo znacznie mniej aniżeli o nim samym, wszyscy oni bowiem dorastali w nienawiści do cywilizacji angielskiej i szkolono ich, by unikali przyjmujących ją kolonistów. Wiedli życie prawdziwych odludków, a ludzie twierdzili, że izolacja wywołała u nich zaburzenia mowy i rozumowania. Cechą charakterystyczną ich wszystkich była wrodzona wada polegająca na odmienności barwy tęczęwek - jedno oko mieli niebieskie, drugie natomiast brązowe.

Ich kontakty z innymi ludźmi stawały się coraz to rzadsze, aż w końcu doszło do zawierania małżeństw z członkami licznej w rezydencji służby, zamieszkującej na terenie posiadłości. Niektórzy przedstawiciele rodu przeprowadzili się na drugi kraniec doliny, by związać się z żyjącymi w tamtych wioskach góralami i dać początek prymitywnym, debilowatym wieśniakom zamieszkującym obecnie te tereny. Inni z uporem i zapamiętaniem pozostali w rezydencji swych przodków, tworząc zamkniętą i posępną społeczność, która wszelako nerwowo i wrażliwie reagowała na nawiedzające ich górze burze.

Większość tych informacji została rozgłoszona całemu światu za pośrednictwem młodego Jana Martense'a, który z pewną niefrasobliwością zaciągnął się do armii kolonialnej, kiedy na Górę Gromów doszły wieści o Konwencji w Albany. Był on pierwszym spośród potomków Gerrita, który zwiedził niemały kawałek świata, a kiedy w 1760 roku powrócił, po sześciu latach wojaczki, został przez swego ojca, stryja i braci zniechęcony i wyklęty jako odmieniec, mimo iż podobnie jak oni miał oczy w dwóch różnych kolorach. Nie dzielił już z nimi osobliwych obyczajów i zachowań, a i burze nie wywierały nań równie silnego wpływu jak na resztę rodziny. Co więcej, otoczenie, w jakim się znalazł, coraz bardziej go przygnębiało, do tego stopnia, iż często pisywał do przyjaciela w Albany, zwierając mu się w listach, że zamierza opuścić rodzinny dom.

Wiosną 1763 roku Jonathan Gifford, przyjaciel Jana Martense'a z Albany, zaczął niepokoić się przedłużającym się brakiem korespondencji od swego druha, zwłaszcza że wiedział o jego kłopotach rodzinnych i częstych sprzeczkach z najbliższymi. Postanowiwszy złożyć mu wizytę, wybrał się w góry konno. Zapis w jego dzienniku głosił, iż dotarł na Górę Gromów dwudziestego września i stwierdził, że posesja obróciła się w ruinę. Posępni, dziwnooccy Martense'owie, którzy zaszokowali go swym niechlujnym, niemal zwierzęcym wyglądem, gardłowym głosem, z trudem artykułując słowa, poinformowali go, że Jan nie żyje. Powiedzieli, że poprzedniej jesieni został porażony piorunem i pochowano go przy domu, za zaniebanym, porośniętym przez chwasty ogrodem. Pokazał gościowi mogiłę, zwykły grób, bez żadnych oznaczeń czy napisów. Coś w zachowaniu Martense'ów wzbudziło w

Giffordzie odrazę i podejrzliwość, toteż tydzień później powrócił uzbrojony w łopatę i oskard, by zbadać, co naprawdę stało się z jego przyjacielem. Jego podejrzenia okazały się słuszne - czaszka była okrutnie zmiażdżona, jakby serią potężnych, brutalnych ciosów, toteż powróciwszy do Albany, wniósł przeciwko Martense'om oskarżenie o zamordowanie ich krewniaka.

Brakowało dowodów prawnych, niemniej historia jak błyskawica rozniosła się po okolicy i od tej pory świat całkowicie odciął się od Martense'ów. Nikt nie chciał prowadzić z nimi interesów, posiadłości zaś powszechnie unikano i uważano za przeklętą. Mimo to jakimś cudem przetrwali, żyjąc z produktów wytworzonych na terenie posiadłości, światła dostrzegane od czasu do czasu z odległych wzgórz świadczyły bowiem o ich ciągłej obecności na Górze Gromów. Światła te widywano aż do 1810 roku, lecz ostatnio zdarzało się to nader rzadko.

Tymczasem wokół posesji narosła mroczna, diabelska legenda. Miejsca tego unikano jak ognia i kojarzono z wszelkimi wytworami ludowych zabobonów. Nikt tu nie przyjeżdżał, aż do 1816 roku, kiedy górale zwrócili uwagę, że w rezydencji od dłuższego już czasu nie paliło się światło. Wtedy też zebrana naprędce drużyna odwiedziła to miejsce i zbadawszy je gruntownie, stwierdziła, iż dom był opuszczony i w większej mierze zrujnowany.

Nie natrafiono na żadne szczątki, toteż uznano, iż mieszkańcy nie tyle powymierali, ile raczej cichaczem wynieśli się z rezydencji. Musieli oni opuścić to miejsce parę lat temu, mnogość zaś pomieszczeń rezydencji przerobionych na pokoje mieszkalne pozwoliła jedynie pobieżnie domyślić się, jak liczną tworzyli tu ostatnio społeczność. Ich poziom kultury mocno się obniżył, czego dowodem były gnijące, rozpadające się meble i rozsypane wszędzie srebra, porzucone wraz z odejściem ich właścicieli. Chociaż przerażający Martense'owie odeszli, lęk przed nawiedzonym domem pozostał; co więcej, narastał z roku na rok, w miarę jak wśród górskich dekadentów poczęły krążyć nowe, dziwne historie. I oto stał tam, opuszczony, budzący grozę, związany nieodłącznie z mściwym duchem Jana Martense'a. Stał tam, owej nocy, gdy rozkopywałem grób Jana Martense'a.

Określiłem wykonywaną przez siebie czynność jako kretynską, zarówno bowiem to, co robiłem, jak i metoda mego działania były idiotyczne. Niebawem dokopałem się do trumny Jana Martense'a - zawierała ona teraz jedynie kurz i saletrę, jednak ogarnięty wściekłym pragnieniem ekshumowania ducha, jałem grzebać, irracjonalnie i niezdarnie, pod miejscem, gdzie złożone były jego szczątki. Bóg jeden wie, co spodziewałem się tam odnaleźć, czułem jedynie, że rozkopuję grób człowieka, którego duch wędruje nocami po okolicy.

Nie sposób stwierdzić, jak monstrualną głębokość osiągnąłem, kiedy ostrze mojej łopaty, a niebawem i moje stopy przebiły się przez grunt, na którym stałem. Wydarzenie to, nawet w obecnych okolicznościach, było niezwykle i zatrważające, istnienie bowiem podziemnego tunelu stanowiło budzące grozę potwierdzenie mych szaleńczych teorii. Podczas upadku, choć nastąpił on z niewysoka, zgasła moja lampa, wyjąłem jednak z kieszeni małą elektryczną latarkę i zlustrowałem niewielki, poziomy tunel ciągnący się nieskończenie w obu kierunkach. Był dostatecznie szeroki, by mógł się przezeń przecisnąć rosły mężczyzna, i choć w owej chwili nie postąpiłby tak żaden logicznie rozumujący mężczyzna, zapomniałem o niebezpieczeństwie, rozsądku i możliwości ubrudzenia się ziemią, ogarnięty trawiącą umysł gorączką, pragnieniem odkrycia przyczajonej grozy. Wybierając drogę ku posesji, wpelźłem do tunelu i zacząłem się czołgać, macając przed sobą energicznie, na oślep, obiema rękami i od czasu do czasu przyświecając sobie latarką.

Jakiż język mógłby opisać sytuację człowieka zagubionego w nieskończonych trzewiach ziemi, drapiącego, zdyszanego, wijącego się, orzącego szaleńczo rękami przed sobą, macającego i wyszukującego drogę przez zapadnięte czeluście zapomnianej bezdennej czerni, pozbawiony poczucia czasu, bezpieczeństwa, kierunku i konkretnego celu, ku któremu zmierza? Jest w tym coś upiornego, niemniej tak właśnie uczyniłem. I trwało to tak długo, że życie zbladło w mych myślach, stając się jeno odległym wspomnieniem, a ja zlałem się w jedno z kretami i pędrakami zamieszkującymi mroczne, podziemne czeluście. W gruncie rzeczy przez czysty przypadek po długim czołganiu się tunelem przypomniałem sobie o latarce i zapaliłem ją, oświetlając słabym snopem elektrycznego światła rozciągający się przede mną gliniasty, skręcający w oddali korytarz.

Pełzłem tak przez czas jakiś i bateria latarki wyczerpała się niemal do końca, gdy nagle tunel ostro jął unosić się w górę, zmuszając mnie do zmiany sposobu poruszania się. Gdy uniosłem wzrok, ni stąd, ni zowąd dojrzałem błyszczące w oddali dwa demoniczne odbicia mojej gasnącej latarki, dwa błyskające odbicia promieniujące wręcz namacalnie złem i przywodzące szaleńcze, mgliste wspomnienia. Automatycznie przystanąłem, choć umysł mój nie pracował na tyle sprawnie, by nakazał mi natychmiast zawrócić. Ślepiea przybliżyły się, choć dostrzegłem jedynie szpon istoty, która na mnie patrzyła. Cóż to jednak był za szpon! Naraz gdzieś z góry dobiegł głośny łoskot, który rozpoznałem. Był to huk gromu, narosły do isticie historycznej furii. Musiałem widocznie przez czas jakiś pięć się pod górę i teraz znajdowałem się niedaleko powierzchni. Podczas gdy odgłos grzmotu z wolna cichł, te błyszczące ślepiea wciąż przyglądały mi się z bezmyślną, tępą złościwością.

Dzięki Bogu, że nie wiedziałem wtedy, czym było to coś, w przeciwnym razie niechybnie bym umarł. Ocalił mnie ten sam grzmot, który ową istotę przywołał, w tej samej chwili bowiem w zbocze góry znowu uderzył piorun i ujrzałem sypiące się na mnie większe i mniejsze grudy ziemi oraz odłamki fulgurytu. Stwór z cyklopową wściekłością zaczął orać ziemię powyżej tej przeklętej jamy, oślepiając mnie i ogłuszając, lecz nie pozostawiając całkiem bez zmysłów. W chaosie osuwającej się, przesypanej ziemi brnąłem bezradnie, torując sobie drogę obiema dłońmi, póki padający na mą głowę deszcz nie pomógł mi złapać równowagi i ujrzałem, że wydostałem się na powierzchnię w znanym mi miejscu. W świetle błyskawic dostrzegłem rozgrzebaną ziemię dokoła i pozostałości osobliwego, niskiego pagórka, ciągnącego się od wyższych partii porośniętego lasem zbocza. W chaosie tym wszelako nic nie wskazywało, jakoby wydostał się przed chwilą z sekretnych, zabójczych katakumb. W tym umyśle, jak i w tej ziemi panował chaos, a gdy od południa okolicę spowiła osobliwa czerwona poświata, niemal

nie zdawałem sobie sprawy z ogromu koszmaru, jaki właśnie przeżyłem.

Jednak dwa dni później, kiedy górale powiedzieli mi, co oznaczała czerwona poświata, ogarnęła mnie jeszcze większa zgroza niż wówczas, gdy odnalazłem tajemny podziemny tunel i spotkałem się w nim z mroczną, zaopatrzoną w szpony istotą o błyszczących ślepiach. Zgroza była tym większa, że wiązały się z nią niewyobrażalne niemal implikacje. W odległej o dwadzieścia mil wiosce mniej więcej w tej samej chwili, gdy w zbocze Góry Gromów uderzył piorun, dzięki czemu wyostałem się z podziemi na powierzchnię, wydarzył się istny koszmar. Z korony drzewa na dziurawy, zniszczony dach starej chaty zeskoczyła potworna, nie nazwana istota. Dokonała co prawda rzezi, lecz górale pospiesznie podpalili chatę, zanim monstrum zdołało się z niej wydostać. Stało się to w tym samym momencie, gdy na istotę o długich szponach i błyszczących ślepiach zaczęły osypywać się w tunelu kaskady ziemi.

[<- Rozdział 2] [Początek] [Rozdział 4 ->]

4. Groza ujawniona

Nie może być nic normalnego w umyśle człowieka, który wiedząc to, co ja wiedziałem o koszmarach Góry Gromów, szukałby samotnie przyczajonej tam grozy. Fakt, że co najmniej dwa ucieleśnienia grozy zostały zniszczone, rodził cień nikłej gwarancji mentalnego i fizycznego bezpieczeństwa w tym Acheroncie wielokształtnego diabelstwa. Mimo to kontynuowałem swe poszukiwania z jeszcze większym zapałem, chociaż wydarzenia i odkryte przeze mnie rewelacje stawały się coraz potworniejsze.

Kiedy w dwa dni po tym, jak rozdygotany z przerażenia wyczołgałem się z krypty istoty o zakrzywionych szponach i lśniących ślepiach, dowiedziałem się, iż dwadzieścia mil dalej, w tym samym czasie, gdy byłem obserwowany przez mrocznego stwora, inny maskaron dokonał potwornej zbrodni, poczułem, że ze zgrozy krew zastyga mi w żyłach. Przerazenie to wszelako było w tak dużym stopniu zmieszane z zadziwieniem, ciekawością i nęcącą groteskowością, że uczucie to stało się nieomal przyjemne. Czasami w wirze koszmaru, gdy niewidzialne potęgi unoszą cię w swych objęciach ponad dachami osobliwych, umarłych miast ku wyszczerzonej szczelinie Nis, odczuwasz ulgę, a nawet rozkosz, mogąc wrzasnąć wniebogłose i dać się ponieść upiornemu wirowi sennego przeznaczenia na samo dno nieznanej i niezgłębionej czeluści, gdzie ma on swój kres.

Tak było i z koszmarem na jawie, który przydarzył mi się na Górze Gromów. Odkrycie, że miejsce to nawiedzały aż dwa potwory, natchnęło mnie niepohamowaną żądzą natychmiastowego udania się do przeklętego rejonu i wygrzebania gołymi rękami śmierci łypiącej złowrogo z każdej grudki tej zatrutej, plugawej ziemi.

Najszybciej, jak było to możliwe, odwiedziłem grób Jana Martense'a, ale na próżno zacząłem kopać w tym samym miejscu, co poprzednio. Jakiś ogromny zawal zasypał ślady sekretnego tunelu, deszcz natomiast zmył do jamy sporo ziemi, tak więc nie potrafiłem stwierdzić, jak głęboko dokopałem się tamtego dnia. Odbyłem również znojną wyprawę do odległej wioski, gdzie spalono morderczą istotę, lecz mój trud nie przyniósł spodziewanych efektów. W popiołach feralnej chaty natrafiłem na kilka kości, żadne jednak raczej nie należały do monstrum. Górale stwierdzili, że potwór dopadł jedną tylko ofiarę, choć w tym względzie chyba się mylili, obok kompletnej czaszki istoty ludzkiej odnalazłem bowiem kościsty fragment pochodzący z pewnością z czaszki człowieka.

Chociaż wieśniacy zauważyli atakującą istotę, nikt nie potrafił powiedzieć, jak ona właściwie wyglądała, ci, którzy ją ujrzeli, twierdzili, iż był to po prostu diabeł.

Zbadawszy wielkie drzewo, gdzie czyhało monstrum, ni odnalazłem na nim żadnych wyraźnych śladów. Usiłowałem odnaleźć w lesie trop owej dziwnej istoty, lecz nie byłem w stanie znieść widoku tych upiornie wielkich, posępnych pni ani grubych wijących się jak węże korzeni, poskręcanych złowrogo i niknących w trzewiach ziemi.

Moim następnym posunięciem było przebadanie z mikroskopijną dokładnością opuszczonej wioski, gdzie śmierć uderzyła z nie mającą sobie równej srogością i gdzie Arthur Munroe ujrzał coś, czego, niestety, nie zdołał przed śmiercią wyjawić. Chociaż poprzednie badania, jakie wykonałem, były nad wyraz staranne, miałem teraz nowe dane, które mogłem i powinienem wykorzystać. Przerazające doświadczenie w tunelu upewniło mnie, że przyczajona groza, przynajmniej w jednej ze swych faz, posiada formę istoty podziemnej. Tym razem, czternastego listopada, skoncentrowałem swe poszukiwania na niegościnnych stokach Stożkowej Góry i Klonowego Wzgórza, otaczających z dwóch stron nieszczęsne sioło, szczególną zaś uwagę skupiłem na zwałach świeżej ziemi w rejonie niedawnego osuwiska, przy drugim ze wspomnianych wzniesień.

Przez całe popołudnie nie odkryłem nic rewelacyjnego, a gdy nadszedł zmierzch, stojąc na Klonowym Wzgórzu, spojrzałem w dół na wioskę i znajdującą się po drugiej stronie doliny Górę Gromów. Zachód słońca był wprost urzekający, a kiedy wzeszedł księżyc zbliżający się do pełni, zalał swą srebrzystą poświatą całą równinę, odległą góry i osobliwe, widniejące tu i ówdzie, niskie pagórki. Była to iście sielankowa scena, lecz we mnie, świadomym, co skrywała, wzbudziła jedynie odrazę i wstręt. Nienawidziłem tego drwiącego księżyca, zdradliwej równiny, przeżartej zgnilizną góry i tych złowieszczych pagórków, wszystko zdawało mi się skażone odrażającą plugawością i związane jakimś ohydny paktem z wynaturzonymi, ukrytymi mocami.

Gdy tak popatrywałem obojętnie na skąpaną księżycowym blaskiem panoramę, wzrok mój przykuła pewna niezwykłość w naturze i układzie jednego elementu topograficznego. Nie miałem głębszej wiedzy z dziedziny geologii, od początku jednak zainteresowały mnie tak liczne w tej okolicy pagórki i wzniesienia. Zauważyłem, że

były rozrzucone dość szeroko wokół Góry Gromów, choć mniej liczne na równinie niżli w pobliżu samego szczytu góry, gdzie prehistoryczne złodowacenia bez wątpienia natrafiły na słabszy opór i mogły swym zdumiewającym fantazyjnym zachciankom dać większy upust. Teraz, w świetle wiszącego nisko na niebie księżyca tworzącym długie, dziwaczne cienie, uderzyło mnie, że rozliczne linie i punkty układu pagórków są w niezwykle sposób powiązane z wierzchołkiem Góry Gromów. Szczyt ów był bez wątpienia środkiem, skąd rozchodziły się linie lub rzędy punktów, niezłozone i nieregularne, jakby z rezydencji Martense'ów na wszystkie strony wysuwały się przedmowe macki zgrozy. Myśl o nich sprawiała, że ciarki przeszły mi naraz po plecach i oto w jednej chwili przestałem uważać owe pagórki za dzieło pradawnych złodowaceń.

Im dłużej nad tym rozmyślałem, tym słabiej wierzyłem w me dotychczasowe przekonania. Na podstawie dokonanych wcześniej badań umysł mój, który otworzył się na nowo, zaczął analizować uznawane dotąd za groteskowe i niewiarygodne, mrozące krew w żyłach analogie na bazie aspektów paranormalnych oraz mych doświadczeń w podziemnym tunelu. Zanim się zorientowałem, mruzczałem już pod nosem jak oszalały oderwane, pełne emocji słowa: - Mój Boże... kretowiska... to przeklęte miejsce musi przypominać od wewnątrz wielki plaster miodu... ile ich jest... tamtej nocy, w posiadłości... najpierw zabrały Bennetta i Tobeya... podchodząc nas z obu stron... - A potem zacząłem rozgrzebywać opętańczo pagórek znajdujący się najbliższej mnie; kopałem pełen desperacji i rozdygotany, ale w głębi duszy nieomal się radowałem; kopałem i koniec końców zakrzyknąłem w głos pod wpływem jakiejś nieokreślonej emocji, kiedy napotkałem wylot tunelu lub jamy, identyczny jak ten, którym wyczołgałem się na powierzchnię owej upiornej nocy.

Pamiętam potem, że biegłem z łopatą w dłoni. To był straszny bieg, gnałem przez skąpane srebrzystym blaskiem, naznaczone pagórkami łąki i trawione chorobą, mroczne otchłanie nawiedzonego lasu porastające strome zbocze góry. Zdyszany przeskakiwałem znajdujące się na mej drodze przeszkody, zmierzając ku przeraźliwej posesji Martense'ów. Pamiętam, jak zupełnie irracjonalnie zacząłem kopać po kolei w kilku zakamarkach zarośniętej krzewami wrzośca piwniczki. Kopałem, by odnaleźć środek, centrum plugawego serca tego bluźnierczego, złowrogiego uniwersum pagórków. Potem, przypominam sobie, wybuchnąłem gromkim śmiechem, gdy natknąłem się na sekretne przejście, otwór u podstawy starego komina, gdzie rosły gęste chwasty rzucające dziwaczne, niepokojące cienie w migotliwym blasku świecy, jedynej skądinąd, jaką miałem przypadkiem przy sobie. Nie wiem, co jeszcze pozostało tam, na dole, w głębi owego piekielnego ula, czając się i wyczekując, aż odgłos gromu wyrwie je z sennego odrętwienia. Dwa zostały zabite, może to położyło kres grozie. Wciąż jednak pozostała we mnie niepokohowana determinacja, by poznać najgłębszy sekret owej grozy, którą znów uważałem za coś określonego, materialnego i organicznego.

Z pełnych niezdecydowania rozważań, czy mam zbadać przejście sam i niezwłocznie, posiłkując się mą niezawodną kieszonkową latarką, czy spróbować zwołać grupę górali, którzy wsparliby mnie w tej wyprawie, wyrwał mnie po chwili nagły podmuch wiatru napływający z zewnątrz, który zgasił wątpy płomyk świecy, pozostawiając mnie w iście egipskich ciemnościach. Księżyc nie przeświecał już przez szczeliny i otwory powyżej, a po chwili, z narastającym niepokojem, usłyszałem złowrogi i znaczący odgłos odległego jeszcze grzmotu.

W głowie miałem mętpik, lecz ostatecznie zacząłem macać na oślep w poszukiwaniu najodleglejszego kąta piwnicy. Ani na chwilę nie odrywałem wzroku od przerażającego otworu u podstawy komina, wkrótce zaś zacząłem dostrzegać zarysy zmurszałych cegieł i odrażających chwastów, gdy słaby blask piorunów przeniknął plugawe zarośla na zewnątrz i oświecił szczeliny w górnej części muru.

Z każdą mijającą sekundą coraz bardziej trawiła mnie mieszanina lęku i zaciekawienia. Co mogła przywołać burza... i czy pozostało jeszcze coś, co mogły zaweźwać grzmoty? W świetle pioruna ukryłem się za gęstą kępą roślinności, zza której mogłem obserwować otwór, nie będąc samemu zauważonym.

Jeśli niebiosy są miłosierne, wymażą pewnego dnia z mej świadomości widok, który wówczas ujrzałem, i pozwolą mi przeżyć w spokoju ostatnie lata, jakie pozostały mi na tym padole. Obecnie nocami dokucza mi bezsenność, a gdy nadchodzi burza i zaczyna grzmieć, muszę uspokajać sterane nerwy opiatami. Istota pojawiła się nagle, zupełnie niezapowiedzianie, demon wypętpł żwawo, niby szczur z jakichś odległych i niewyobraźalnych czeluści, dało się słyszeć piekielne sapanie, zduszone pochrząkiwanie i naraz z otworu w podstawie komina wypłynęły niezliczone tłumy plugawych w swej trędownatej, niezdrowej potworności istot, istna rzeka odrażających pomiotów nocy, najprzeróżniejszych okazów organicznego zepsucia, bardziej zatrważających niż najpotworniejsze przykłady dostępnego śmiertelnikom szaleństwa i zwichrowanej patologii.

Wrząc, kipiąc i falując, bulgocząc niczym wężowy jad, potok istot wypłynął z przepastnego otworu, rozprzestrzeniając się jak bezlitosna zaraza lub śmiertelne zakażenie i kierując ku kolejnym wyjściom, rozdzielając się, by rozproszyć się wśród ostępów mrocznego, nocnego lasu, siać strach, szaleństwo i śmierć.

Bóg jeden wie, ile ich tam było, ale z pewnością tysiące.

Widok tych szeregów w słabych, krótkotrwałych błyskach piorunów był zaiste szokujący. Kiedy rozproszyły się na tyle, bym mógł przyjrzeć się pojedynczym osobnikom, stwierdziłem, że były to skarłate, zdeformowane włochate diabły lub może małpy. Owe monstualne i diaboliczne karykatury małpiego rodu były zarazem przeraźliwie ciche. Nie usłyszałem nawet głośniejszego pisku, gdy jeden z maruderów z wprawą wskazującą na długą praktykę rzucił się na młodsze, wyraźnie słabsze towarzysza, by bez zwłoki zaspokoić jego kosztem doskwierający mu głód. Inne istoty rozdrapały w okamgnieniu resztki i pożarły ze smakiem, śliniąc się przy tym niepomiernie. I wtedy pomimo oszołomienia i zgrozy moja posępna ciekawość wzięła górę; gdy ostatnie monstium wyłoniło się z podziemnego świata nieznanymi i niespotykanymi koszmarów, wyjąłem swój pistolet automatyczny i zastrzeliłem

potwórka, odczekawszy, aż huk gromu zagłuszy odgłos wystrzału.

Wrzeszczące, wijące się, pełzające, rwące cienie czerwonego lepkiego szaleństwa ścigające się między sobą wśród niekończących się, ociekających krwią korytarzy fioletowego, fulgurytowego nieba... bezkształtne fontanny i kalejdoskopowe mutacje upiornej, zapamiętanej sceny; lasy pełne monstualnych, przerośniętych dębów z węzłowymi korzeniami, poskręcany i spijającymi nie nazwane soki z trzewi ziemi rojących się od milionów kanibalistycznych diabłów; macki jak rzędy pagórków sięgające z podziemnego nukleusu polipowego plugastwa... szaleńczy piorun rozświetlający porośnięte zjadliwym bluszczem mury i demoniczne przejścia, zdławione porastającą je gąbczastą, grzybiastą, odrażającą roślinnością...

Niebiosom niech będą dzięki za instynkt, który nieświadomie przywiódł mnie z powrotem do miejsc zamieszkanym przez ludzi, do spokojnej osady śpiącej pod baldachimem czystego nieba pełnego spokojnych, migoczących radośnie gwiazd.

Po tygodniu doszedłem do siebie na tyle, że posłałem do Albany po zespół ludzi, polecając im, aby wysadzili dynamitem posiadłość Martense'ów i cały wierzchołek góry, zrównali z ziemią wszelkie pagórki - wyjścia wchodzące w skład sieci podziemnych tuneli - i zniszczyli pewne, nadmiernie wyrosnięte drzewa, których istnienie zdawało się obelgą dla zdrowego rozsądku. Gdy wypełnili to zadanie, mogłem wreszcie spać nieco spokojniej, lecz prawdziwego ukojenia nie zaznam nigdy, póki w pamięci mej pozostanie owa niewypowiedziana straszliwa tajemnica przyczajonej grozy. Sekret ten będzie mnie nękał aż do śmierci, któż bowiem zaręczy, że dokonano całkowitej eksterminacji tego niewypowiedzianego plugastwa i że podobne makabryczne fenomeny nie kryją się w mrocznych zakątkach na całej kuli ziemskiej? Kto, dysponując moją wiedzą, nie myślałby o istniejących na ziemi, nieznanym jaskiniach, nie czując przy tym na plecach lodowatych dreszczy zgrozy wywołanych mglistymi, acz jak najbardziej usprawiedliwionymi podejrzeniami? Nie jestem w stanie spojrzeć na studnię czy na wylot tunelu, by widok ten nie wzbudził we mnie uczucia zatrważającego lęku... dlaczego lekarze nie dadzą mi czegoś, bym mógł spokojnie zasnąć lub uspokoić skołataną nerwy, gdy na dworze zaczyna grzmieć? To, co ujrzałem w blasku pioruna, gdy zastrzeliłem ostatniego wylaniającego się z czeluści piekielnych marudera, było tak proste i banalne, że minęła niemal minuta, zanim to pojąłem i o mało nie straciłem zmysłów. Istota wyglądała odrażająco. Był to brudny, cuchnący, białawy, podobny do goryla stwór o ostrych, żółtych kłach i zmierzwionym futrze. Ostateczny wytwór ssaczej degeneracji, przerażający wynik parzenia się w odizolowanych grupach, takiegoż rozrodu i kanibalizmu, który praktykowany zarówno na powierzchni, jak i pod ziemią, dostarczał im niezbędnego pożywienia; ucieleśnienie całego gniewu, dzikości, chaosu, szaleństwa i roześmianej grozy czyhającej gdzieś poza życiem. To spojrzało na mnie, umierając, a jego ślepie wyglądały równie osobliwie jak te, które obserwowały mnie w podziemnym tunelu i które wywołały we mnie wtedy jeszcze bliżej nie sprecyzowane przypuszczenia i skojarzenia. Jedno oko było niebieskie, drugie zaś brązowe. Jak głośniły stare legendy, zróżnicowanie barwy tęczy było cechą wrodzoną charakteryzującą wszystkich Martense'ów, i w jednej, mrożącej krew w żyłach ową gwałtownością chwili iluminacji pojąłem, co stało się z owym zaginionym klanem, co naprawdę spotkało przerażającą i doprowadzoną przez grzmoty do szaleństwa rodzinę Martense'ów.

Autor: Howard Phillips Lovecraft

[<- **Rozdział 3**] [**Początek**]